Rok V. We Lwowie dnia 2. grudnia 1897. Nr. 48.

GAZETA KOŚCIELNA

Przedpłata: roczna 5 zł. 50 ct.
półroczna 3 „ — „
kwartalna 1 „ 50 „

Rękopisów przyjętych do druku Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi co czwartku.

Redakcya, Administracya i Expedycya plac Kapitulny l. 5. I. piętro.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 10 ct. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Notatki o ślubie wstrzemięźliwości
ze stanowiska etyki i teologii pastoralnej.

I.

Czy można ślubować od trunków gorących?

Wobec rozpowszechnionego Bractwa wstrzemięźliwości i wiekowej praktyki zdaje się naiwnem to pytanie, a przecież raz zagadnięto mię w ten sposób, odwołując się na określenie ślubu (promissio de bono meliori) i utrzymując, że wódka jest rzeczą moralnie obojętną, przeto nieważnym jest ślub powstrzymywania się od niej.

Przed odpowiedzią na uczynione pytanie zastanówmy się nad określeniem ślubu.

Powszechnie przyjętą jest definicya ślubu, opierająca się na św. Tomaszu: ślub jest to obietnica Bogu uczyniona, którą zobowiązujemy się do wykonania dobra lepszego a możliwego [1]).

Ślub różni się od zwykłego postanowienia lub przyrzeczenia tem, że nakłada, pod grzechem, ścisły obowiązek wykonania uczynku, będącego przedmiotem ślubu.

Jasnem jest, że od ślubującego wymaga się intencyi ślubowania, wolności w dezyzyi i rozwagi. Ten ostatni warunek żąda, aby ślubujący wiedział, na czem polega ślub a mianowicie zdawał sobie sprawę z tego, że ślub obowiązuje pod grzechem; następnie ma mieć poznanie przedmiotu ślubowanego, wykluczające istotny błąd. Warunki te szeroko omawiają podręczniki teologii moralnej, z tego też powodu nie widzę potrzeby bliższego ich wyjaśniania. Za to zastanowię się raczej nad przedmiotem ślubu, który definicya wyraża słowami: „dobro lepsze“ (bonum melius).

Jakkolwiek ślubować możemy w rozmaitej intencyi, n. p. aby osiągnąć ducha pokuty, zdrowie, podziękować za dobrodziejstwa otrzymane lub wybłagać nowe, to wszystkie te cele i motywy będą zewnętrznymi celami ślubu (fines extrinseci), a niezależnie od nich celem wewnętrznym, do którego ślub sam z natury swojej zdąża, jest oddanie specyalnej, nadzwyczajnej czci Najwyższemu. Ślubując, niejako ofiarujemy Bogu jakiś uczynek, jakoby dar, by Go uczcić i Jego łaski sobie zaskarbić. Stąd wynika, że przedmiotem ślubu nie może być uczynek niegodziwy ani też moralnie obojętny. Ofiarowanie Bogu takich darów uwłaczałoby Jego majestatowi a tem samem byłoby grzechem. Podobnie w społecznem pożyciu nikomu nie przychodzi na myśl chcieć uczcić jakąś osobę przykrością lub obojętną drobnostką, bo byłoby to obrazą osoby, rzekomo czczonej. Z tego powodu przedmiotem ślubu może być tylko uczynek moralnie dobry.

Różne są jednak stopnie dobroci, różną moralna wartość uczynków; jedne są więcej, drugie mniej dobre. Gdyż jedne uczynki mogą mieć cel szczytniejszy od drugich, przedmiot jednych przyczynić się może więcej do chwały Bożej i zbawienia dusz, niż innych; różne też są okoliczności przedmiotowe i podmiotowe, wpływające na wartość moralną uczynków. P. Jezus powiedział o ubogiej wdowie, która oddała całe swe mienie, składające się z dwóch groszy, że wdowa ta więcej niż wszyscy wrzuciła do skarbony kościelnej (Łukasz 21). Wyższą także jest wartość uczynku, gdy wola silniej przylgnie do dobrego a człowiek z większym zapałem wykona czyn dobry. Podobnie też większą ma wartość ceteris paribus uczynek nadobowiązkowy od obowiązkowego, nakazanego.

Rzecz oczywista, iż im lepszy jest uczynek, tem więcej się Bogu podoba.

Aby prawu zadość uczynić, wystarczy wykonać uczynek o zwykłym stopniu moralności, bo wszelkie prawo nakazuje pod grzechem tylko minimum; ponieważ nikt w darze nie daje drugiemu tego, do czego ściśle jest obowiązany, z tego powodu uczynki nakazane, czyli czyny zwykłego stopnia moralności, właściwie nie mogą być przedmiotem ślubu, tylko te, do których nie mamy obowiązku (opera supererogatoria [2]). One to nazwane zostały „bonum melius“ w ścisłem słowa znaczeniu.

Każdy dobry uczynek nadobowiązkowy powinien mieć dwa warunki, aby był przedmiotem ślubu: najpierw ma być lepszy niż jego zaniechanie, czyli innemi słowy: lepszem ma być to, że coś nadobowiązkowo robimy, aniżeli gdybyśmy tego nie zrobili; to już wypływa z pojęcia czynu nadobowiązkowego; następnie czyn nadobowiązkowy prawdziwie dobry nie może nam przeszkadzać w wykonywaniu czynów obowiązkowych czyli w wypełnianiu obowiązków, jakoteż nie może tamować woli w dążeniu do uczynków lepszych od niego; w przeciwnym razie czyn taki nadobowiązkowy byłby w pierwszym wypadku tylko wybiegiem do obejścia prawa i zaniedbania obowiązków, w drugiem zaś wypadku byłby parawanem nieszczerości, zrobieniem małej grzeczności, jak mówią, „na odczepne“, by przypadkowo nie żądano od nas czegoś więcej. Stąd to moraliści wyrażają się o przedmiocie ślubu, że nim może być „bonum melius quam oppositum sive eius omissio“ (Busembaum u św. Alf. IV. 202), lub też „res moraliter bona imo maioris boni non impediens“ (Lehmkuhl I. 435).

Powiedziałem za św. Tomaszem, że czyn nakazany (obowiązkowy) właściwie nie może być przedmiotem ślubu, muszę jednak to zdanie uzupełnić, a sądzę, że uczynię najlepiej, jeżeli

[1]) Promissio deliberata, Deo facta, de bono meliori et possibili. (2. 2. qu. 88, a. 1, et 2).

[2]) 2. 2. qu. 88 a. 2 c.

przytoczę słowa Doktora Anielskiego, który mówi o uczynku nakazanym: „cadit quidem sub voto in quantum voluntarie fit, non autem in quantum est necessitatis“ (l. c).

Te słowa naprowadzają nas na wyszukanie powodu, wskazującego nam, dla czego uczynki nakazane mogą być przedmiotem ślubu i mówią, że racyi szukać należy nie w nakazie i dobroci ich, pochodzącej ze zgodności z prawem *simpliciter*, lecz we wpływie woli na uczynek, w przylgnięciu jej do dobra. Nakaz lub prawo nakładają na nas obowiązek; gdy człowiek idzie za głosem prawa, dobrze czyni; jeżeli zaś oprócz tego w jakiś sposób ściślej jeszcze, ale dobrowolnie, zobowiązuje się do czynu nakazanego, to znakiem jest, że wola jego więcej upodobała sobie w dobroci czynu, silniej do niej przylgnęła, a przeto uczynek taki będzie miał większą moralną wartość (actus bonus fit intensior). Podobnie większą wartość ma jałmużna dana z gorętszem uczuciem, żywszem miłosierdziem, aniżeli udzielona z zimnem sercem, chłodną ręką. Takim właśnie dowodem intenzyi woli jest ślub rzeczy obowiązkowej.

Nadto, przykazania wymagają od nas dobrych uczynków, ale wcale nie obowiązują do tego, abyśmy je wykonywali jako z n a k i c z c i B o ż e j; ślubując. czynimy to a przeto nową, nadobowiązkową dobroć moralną dodajemy uczynkowi, który tem samem staje się podwójnie dobrym: jest więc „dobrem lepszem“.

Ponieważ ani do opisanego, silniejszego przylgnięcia woli do dobrego ani do wykonywania uczynków jako znaków czci Bożej nie jesteśmy ściśle zobowiązani, widzimy więc, że uczynek obowiązkowy staje się możliwym przedmiotem ślubu dopiero wtedy, gdy go podniesiemy do stopnia bonum melius, a więc: gdy zostanie co do okoliczności, jemu towarzyszących, nadobowiązkowym.

Można tedy ogólnie powiedzieć, że właściwą materyą ślubu jest zawsze uczynek nadobowiązkowy; w tem tylko zrozumieniu utrzymać się może definicya ślubu, podana w katechizmach Likowskiego i Deharbe'a: „Ślub jest dobrowolną, Bogu uczynioną obietnicą dobrego uczynku, do którego nie obowiązuje żadne przykazanie“.

Zwrócić uwagę muszę jeszcze na jedno: nawet uczynek sam przez się obojętny, ale wykonany w celu dobrym, można objąć ślubem; nie, o ile jest moralnie obojętny, lecz o ile przez intencyę dobrą staje się moralnie dobrym. N. p.: ktoś składa ślub, że nie będzie jeździł konno; ślub nieważny, bo materya obojętna; ale jeśli dosiadał konia zwykle dla grzechu, to ślub niejeżdżenia będzie ważny, bo będzie oznaczał chęć unikania grzechu.

Że przedmiot ślubu musi być możliwym do wykonania, samo się przez się rozumie; „ad impossibilia nemo tenetur“. Zaznaczyć tylko muszę nawiasowo, że ślub w materyi ważnej obowiązuje pod grzechem śmiertelnym, w materyi lekkiej pod grzechem powszednim, jeżeli zaś przedmiotem ślubu był uczynek nakazany, to niedotrzymując go, popełnia się podwójny grzech, a mianowicie jeden, że przekroczyliśmy prawo, domagające się od nas wykonania uczynku lub zaniechania; drugi, że nie dotrzymaliśmy obietnicy, Bogu uczynionej. Z tego też powodu nie wystarcza spowiadać się z samego tylko przekroczenia prawa, lecz dodać należy i tę okoliczność, żeśmy ślubem byli związani.

Stosownie do zadanego pytania nie od rzeczy będzie wyjaśnienie, że przez napoje gorące (rozpalające, wyskokowe) rozumieć należy spirytus, wódki wszelkiego gatunku, likiery, rum.

Czy więc ważnym jest ślub wstrzemięźliwości od napojów gorących?

Ślub taki może być dwojakiego rodzaju; albo można zobowiązać się do w s t r z e m i ę ź l i w e g o używania tych napojów czyli do unikania ich nadużycia, sprowadzającego opilstwo, jest to tak zwany „ślub na mierność“, albo można ślubować, że się zupełnie będzie od nich powstrzymywało. Co do ważności pierwszego rodzaju ślubu niema żadnej wątpliwości; jest to właściwie ślub powstrzymania się od opilstwa, a więc ślub, którego przedmiot jest skądinąd nakazany, a mianowicie przez piąte przykazanie boskie — przeto jest ważny, pod warunkami wyżej wypowiedzianymi. Ale co sądzić o ślubie zupełnego powstrzymania się od gorących napojów, czyli, powiedzmy krótko, od wódki? Wszak wódka jest sama przez się rzeczą moralnie obojętną!

Tak jest — moralnie nie jest wódka ani czemś złem ani dobrem — jest rzeczą obojętną: alkohol (C_2 H_6 O) z domieszkami; a nawet używano jej pierwotnie jako lekarstwa, szczególniej podczas tak często grasujących pomorów w wiekach średnich. Znana była już w XII. w. lekarzowi arabskiemu Abul Kasim, w północnych krajach uczy przyrządzać ją Rajmundus Lullus, pisze o niej Michał Savonarola, dopiero w XVI. w., zaczęto używać wódki jako trunku upajającego. Dzisiaj także ma spirytus zastosowanie w medycynie, ale głównie znana jest wódka jako trunek. Mimo zmiany w jej używaniu pozostała sama przez się rzeczą moralnie obojętną; mogę przejść około największego składu propinacyjnego, a nie będzie to samo przez się ani cnotą ani grzechem. Stąd wynika, że wódka, fizycznie wzięta, nie może być przedmiotem ślubu. Tak samo picie wódki per se jest rzeczą moralnie obojętną, jak to o piciu wina orzekł św. Tomasz [1]. Ale co innego jest cel, dla którego ludzie ją piją i skutki, jakie trunek sprawia. Jeżeli pod tym kątem będziemy patrzeć na wódkę, to niewątpliwie może ona być przedmiotem ślubu, tak jak każdy inny trunek, a nawet bardziej jeszcze. Ślubując bowiem zupełne powstrzymanie się od tego napoju, tem samem zadajemy sobie pewnego rodzaju umartwienie. Wódka bowiem, choćby w małej ilości wypita, wskutek wysokiego procentu alkoholu (40—60 %), wchodzącego w jej skład, działa podniecająco, przyspiesza obieg krwi, wpływa na żywość fantazyi i sprawia u wielu ludzi uczucie przyjemne. Mówię, „u wielu“ i to akcentuję, bo nie na wszystkich jednakowo działa, zależy to od organizmu. Powstrzymanie się więc zupełne od wódki, nawet w małej ilości, jest dla tych odmówieniem sobie przyjemności, pewnego rodzaju umartwieniem; a że umartwienie jest rzeczą moralnie dobrą, przeto może być przedmiotem ślubu.

Powtóre, picie wódki, szczególnie dla niewykształconych warstw społeczeństwa, jest rzeczą niebezpieczną. Ludzie, nie mający dość siły moralnej, aby zapanować nad sobą i zachować miarę, łatwo nawykają do używania tego napoju i upijają się. Właśnie wskutek wielkiego procentu wyskoku nie wielka ilość wódki już działa dość silnie, organizm zaś często podniecany, przyzwyczaja się do podniety (specyalnie żołądek i nerki) i nie czuje się dobrze, gdy mu tego podrażnienia nie dostawa; czegoś mu brakuje; uspokoi się dopiero, gdy znów pochłonie pewną część alkoholu; przy częstem zaś i dłuższem użyciu wódki nie wystarcza już dawna jej ilość, bo energia błon śluzowych, żołądka, nerek tępieje, stąd uczuwa się potrzeba większej ilości alkoholu, co doprowadza do nałogowego picia i opilstwa, wraz z licznymi a smutnymi jego skutkami. Dodajmy do tego, że alkohol ożywia fantazyę, a będziemy mieć drugi powód, dla czego ludzie na jednym kieliszku zwykle nie poprzestają. A towarzystwo? I ono wiele wpływa; zawodowi w piciu sami zwykle się nie upijają, zawsze potrzebują towarzysza, do któregoby pili; tak też viribus unitis łatwiej i do grzechu się dojdzie. Ponieważ zaś opilstwo jest grzechem więc i niebezpieczeństwo upicia się będzie moralnie złem, a usunięcie sposobności do niego czemś dobrem, a przeto wódka może być przedmiotem ślubu. To drugi powód.

Jeżeli dla kogo wódka nie przedstawia tych niebezpieczeństw z powodu tego, że umie zapanować nad sobą, powiedzieć sobie: tyle, ani kropli więcej — i dotrzymać słowa, to i ten może ważnie ślubować od niej; daje bowiem przykład dobry pijanicom, że bez wódki wygodnie i zdrowo żyć można, a przeto wymówki pijackie są czcze; to znów jest czemś dobrem a skoro tak, to może być i dla tych osób ślub od wódki ważnym.

Wiadomo, że w Starym Zakonie Nazyrejczycy ślubem zobowiązywali się do zupełnego powstrzymywania się od picia

[1]) 2. 2. q. 149. a 3. c. Nullus cibus vel potus, secundum se consideratus est illicitus, secundum sententiam Domini dicentis (Matth. 15.): „Non quod intrat in os, coinquinat hominem“, et ideo bibere vinum secundum se non est illicitum.

wina; ludzie ci byli prototypem zakonników i zażywali wielkiej powagi u narodu żydowskiego; wśród krwawych starć za czasów Judy Machabeusza do nich uciekli się uciśnieni żydzi, aby modlitwą ubłagali pomoc i miłosierdzie Jehowy. Uważano przeto za dobry i ważny ślub powstrzymania się od wina, a jeśli tak, to a fortiori będzie to miało zastosowanie i do wódki. Wobec tych danych nie ulega wątpliwości ważność ślubu od wódki. (C. d. n.)

X. Dr. Karol Szczeklik.

„Niezależni" w Ameryce i starokatolicy.

Ks. Kozłowski z Chicago, jeden z przywódzców ruchu tak zw. niezależnych, wybrany biskupem, udał się do Europy celem uzyskania konsekracyi. Ponieważ mowy być nie mogło o zatwierdzeniu go przez Stolicę Apostolską, więc się udał do starokatolików, którzy oczywiście uszczęśliwieni byli z takiej gratki, przybywającej im niespodzianie z za Oceanu. Na konferencyi starokatolików, odbytej w Bonn, dokąd odszczepieniec także się stawił, uchwalono go wyświęcić na biskupa. Świętokradzka ale ważna konsekracya miała się odbyć w Bernie szwajcarskim 21. listopada. Fakt to jest niezmiernie smutny i dla nas Polaków upokarzający.

Starokatolicyzm, który powstał po soborze watykańskim pod pozorem nieuznawania dogmatu o nieomylności papieża, wegetuje mizernie w Niemczech i w Szwajcaryi. Otacza go opieką rząd, tam protestancki, tu radykalny. Pierwszego biskupa starokatolików, Reinkensa, noszącego z upoważnienia rządowego tytuł biskupa „katolickiego" bez bliższego oznaczenia i bez katedry, święcił jeden z biskupów jansenistowskich z Hollandyi, którzy mają nieprzerwaną *successionem apostolicam* a zatem ordynują ważnie. Po śmierci Reinkensa objął biskupstwo „katolickie" biskup Weber, również świętokradzko konsekrowany, tak samo, jak szwajcarski biskup starokatolicki, Herzog w Bernie, gdzie przy uniwersytecie istnieje wydział teologiczny starokatolicki, mający kilku zaledwie słuchaczy, ale dalej utrzymywany na przekor katolikom. W Austryi starokatolicyzm mało się rozwinął, chociaż zagarnął i trzyma dotąd przez magistrat wiedeński ustąpioną kaplicę św. Salwatora. Starokatolikami austryackimi zarządza ks. Miłosz Czech, presbyter tylko, dający sobie skromny tytuł „zawiadowcy biskupstwa". We Włoszech i Francyi oprócz pojedynczych apostatów, starokatolicyzm się nie przyjął. Sławny niegdyś kaznodzieja, ks. Jacek Loyson, karmelita, który się ogłosił starokatolikiem i z amerykanką ożenił, miałby może nawet ochotę z Kościołem się pojednać, tylkoby chciał, aby mu papież dał dyspenzę na zatrzymanie żony i zostanie księdzem jakiegoś obrządku wschodniego, z czego oczywiście nic być nie może. Protektorem zaślepionego starca jest książe Baltazar Odescalchi, z Branickiej urodzony i wielki liberał, choć syn matki, całą duszą oddanej Stolicy Apostolskiej. W liście do byłego O. Jacka, z okoliczności tej sprawy ogłoszonym w dziennikach, załączył także ukłony dla pani Jackowej.

Polacy nie kwapili się do starokatolicyzmu, głównie dla niemieckiego jego początku, chociaż nie brakowało u nas na przeciwnikach soboru i wielbicielach Döllingera. W smutnej pamięci pozostanie *Tydzień* drezdeński Kraszewskiego, odzywania się podczas prelekcyi profesora medycyny Gilewskiego w Krakowie i podpis profesora wrocławskiego Nehringa, Polaka, na adresie do Döllingera. Ale z księży nie wiele odpadło. W Wielkopolsce ks. Pyszka, który umarł w Pfhorzheim jako proboszcz starokatolicki i ks. Suszczyński, były kanonik katedralny poznański, który się z młodą żoną do Królewca wyniósł a po ukończeniu kulturkampfu pastorem w Prusach wschodnich został i prędko tam umarł. W samej dyecezyi nikt z Polaków do starokatolicyzmu się nie przyznał. Na emigracyi znalazł się jedyny ks. Dębski, który w kantonie Bern objął z ramienia rządu, forytującego starokatolików, jako intruz parafią. Osławiony ks. Karol Mikoszewski, redaktor potajemnie w Warszawie wydawanego *Głosu kapłana*, którego zuchwałe przeciw pasterzowi swojemu wystąpienie ks. arcybiskup Feliński opisał w swoich pamiętnikach, ów mniemany patryota zagorzały, zgłosił się do Moskali osobiście z projektem utworzenia kościoła starokatolickiego w Polsce, ale ci, niedowierzając mu, wysłali go gdzieś w okolicę Woroneża, skąd później wypuszczony, na tułactwie biednego życia dokonał, nie naprawiwszy żadnym publicznym aktem zgorszeń, których w życiu narobił.

Co Polacy w Europie odepchnęli od siebie, co nawet w ojczyźnie swojej, Niemczech, powoli więdnie i obumiera, przyjęła jak się zdaje część, choć stosunkowo niewielka, Polaków amerykańskich. Obok niesłychanej ofiarności na budowę kościołów i szkół, o której mogliśmy powziąć wyobrażenie podczas wystawy lwowskiej, nie trudno odgadnąć między amerykańskimi Polakami najsmutniejsze kościelne stosunki. Źródłem ich: niesforność i buta, polskiemu charakterowi właściwa, które w Ameryce przy swobodzie niczem nie okiełznanej w całej wystąpiły jaskrawości. Lud prosty, a z takiego prawie wyłącznie składa się żywioł polsko-amerykański, stracił za morzem swoją potulność, czuje się panem i, wybierając urzędników cywilnych, chce także rządzić w kościołach, które wzniósł ze swych ofiar. Rząd do spraw religijnych żadnego wyznania zupełnie się nie wtrąca, biskupi po polsku nie umieją, więc żywem słowem na swych polskich dyecezyan działać nie mogą, w duchowieństwie zaś obok kapłanów zacnych i pełnych poświęcenia są zbiegowie z Europy, którzy nie dla apostolskiej gorliwości ją opuścili. Biskupi przyjmują ich z konieczności, bo nie ma kim parafij polskich obsadzać. Często twierdzono w gazetach naszych, że gdyby Polacy amerykańscy mieli biskupa Polaka, toby stosunki między nimi zupełnie inaczej wyglądały. Wysyłano ks. arcyb. Hryniewickiego do Ameryki, a korespondencya do salzburgskiej *Kirchenzeitung* doniosła nawet, że już się osiedlił w Washingtonie przy delegacie apostolskim, kiedy ks. arcybiskupowi nie śniło się Lwowa opuszczać. Delegat apostolski, nie mogący się mieszać do rządów dyecezyalnych, nie potrzebuje przy swoim boku Polaka, a o potrzebach katolików polskiej narodowości może, ile tylko chce, się dowiedzieć i przystęp do niego każdemu jest dozwolony. Niezawodnie byłoby korzystnem, gdyby w dyecezyach, gdzie Polacy licznie są nagromadzeni, mógł być biskup, albo dyecezyalny albo przynajmniej sufragan. Polak, ale miałby on tylko w swojej jednej dyecezyi władzę. Obrządek łaciński nie zna biskupów narodowych, a tylko z konieczności w Ameryce parafie narodowe i to do czasu. Mógłby istnieć i pożądanymby był biskup ruski unicki dla Ameryki albo maronicki (bo i Maronici są między wychodźcami), ale polskiego ogólnego dla katolików tylko polskich być nie może. Zresztą narodowość jest rzeczą zmienną i niestałą. W iluż rodzinach widzimy, że dzieci do innej przyznawają się narodowości aniżeli rodzice? Któż winien, że kiedy tak biedny i nieliczny naród jak Słoweńcy kilku już mieli biskupów w Ameryce i teraz właśnie znowu jednego otrzymali pasterza ze swego plemienia, Polacy, liczący w Ameryce więcej głów niż jest całego narodu Słoweńców na świecie, dotąd w Ameryce nie mieli ani jednego? Irlandczycy, ubodzy i długo z praw wszelkich wyzuci w swojej ojczyźnie, stali się w Ameryce potęgą polityczną (teraz z ministrów jeden jest Irlandczyk i katolik) i kościelną, dzierżąc wielką część biskupstw w swojem ręku; Niemcy mają wielkie znaczenie i biskupów swojej narodowości, a Polacy nie znaczą nic, nie mają nawet ani jednego reprezentanta swojego w kongresie waszyngtońskim. A dla tego tak jest, że nietylko pozostali na stanowisku najniższem wyrobników i rzemieślników, prawie wyłącznie, i wyżej podnieść się nie mogą, ale są między sobą rozdarci i ciągłym przykładem złym wzajemnych kłótni i nienawiści między sobą, i to nawet w sprawach kościelnych, ku zgorszeniu i pośmiewisku innoplemieńców.

Utrzymuje się u niektórych naszych uczonych teorya, że lud polski jest innego pochodzenia aniżeli szlachta. Dość rozpatrzyć się w stosunkach polsko-amerykańskich, aby zrozumieć, że to przypuszczenie jest błędne, bo ta sama krzykliwość, niezgodność, ta sama zawiść i czernienie swoich, które znaliśmy właściwością butnej szlachty polskiej z jej *liberum veto*, powtarza się śród amerykańskich Polaków. Koszulę zdejmie, aby dać ofiarę na kościół a potem będzie w tym kościele kapłana lżył, gdy mu

się nie spodoba i gwałtem wypędzał. Wszakże baby nawet, Polki, poczciwe i gorliwe (?) katoliczki, z miotłami nie raz jeden w domu Bożym na księży nacierały. Te częste rozruchy kościelne [1]), połączone niekiedy z rozlewem krwi nawet, a zawsze z upodleniem się w oczach innych katolików, przytem odszczepieństwa pojedynczych księży, którzy tworzyli czasowe schizmy, jak znany ks. Kolasiński w Detroit. (ten się na szczęście przy Kościele ostał), były plamą i zakałą, ciążącą na Polakach w Ameryce. Biskupi obcego plemienia i duchowieństwo polskie, bardzo mieszanej wartości, nie mieli dostatecznej powagi, aby złemu zaradzić. Jeszcze mniej mogły to uczynić pisma czasowe, które stoją na niezmiernie niskim stopniu rozwoju i składają się w jednej części z przedruków z gazet polskich europejskich a w drugiej, oryginalnej, z artykułów bez żadnej naukowej i literackiej wartości, dobrze jeszcze, jeżeli nie zaprawnych najordynarniejszemi i bezwzględnemi napaściami na osobistości przeciwników. Niema się czemu dziwić... W Ameryce literatów z profesyi prawie niema, bo to chleba nie daje. Imają się więc pióra ludzie niedouczeni, piórem słabo władający, a często nawet indywidua niższego stanu, którym pocięgiel nie pióro w ręku przystoi. W obec nieokiełznanej wolności, do jakiej przywykł Amerykanin, wymierzający sam sobie sprawiedliwość rewolwerem albo lynczem, można sobie wystawić, na jak nizki poziom zeszła prasa polska w Ameryce. Nawet Hieronim Derdowski, znany poeta w dyalekcie kaszubskim, człowiek o uniwersyteckiem wykształceniu, w czasopismach przez siebie wydawanych nie różnił się karczemnym tonem od innych. Taki tam już duch. Jak na Ukrainie każdy kozakiem się stawał, tak w Ameryce grubianem. Nawet pisma katolickie, przez księży wydawane, nie są od tej wady wolne. A przecie powinnyby wiedzieć, że kpinkami, drwinkami nie broni się dobrej sprawy, tylko przepaść kopie coraz głębszą.

Po rozmaitych pojedynczych burdach i buntach przeciw księżom albo księży, opierających się na pozyskanem stronnictwie, przeciw duchownej władzy, począł się ruch smutniejszy, bo dążący wprost do oderwania się od Kościoła. Nazwano go w ostatnim czasie ruchem *Niezależnych*, a ogarnął on już parafij kilkanaście, oraz księży niegodnych pewną liczbę i stał się zjawiskiem groźnem. O ile sobie możemy przypomnieć, dał mu początek ks. Rademacher, Niemiec z urodzenia, który otrzymawszy polską parafię w Cleveland, przezwał się dla przypodobania Polakom Kołaszewskim, bo w Ameryce wszystko wolno i władza żadna nikogo o metrykę nie pyta. Ten ksiądz, awanturnik pospolity, zbuntował się przeciw biskupowi i przy kościele z pomocą części parafian utrzymał. Polscy delegaci z Europy, obecni na sejmie polskim w Cleveland, osławionej pamięci dr. Lewakowski i Balicki z Genewy, uczcili *Niezależnych* swoją jawną sympatyą i wizytą, z której się później chcieli oczyścić, tłómacząc się, że nie wiedzieli dobrze, o co rzecz chodzi. Za Rademachera przykładem poszło więcej księży, między którymi najnikczemniejszy był Jakimowicz, który się w końcu ożenił i został predykantem Baptystów. Kiedy dotąd polsko-amerykańskie kościelne zaburzenia ograniczały się na chwilowych schizmach, nie wkraczając nigdy w zakres nauki Kościoła i ustanowionego w nim porządku, pierwsi *Niezależni* wystąpili z zuchwałem oskarżeniem katolicyzmu i ogłosili rodzaj wyznania wiary, które i po Europie porozsyłali. Trudno nam tutaj zdać sobie sprawę dokładną z tego ruchu, i genezę jego należycie wyświecić, bo z amerykańskich dzienników, redagowanych podług naszych pojęć niżej krytyki, niczego porządnie dowiedzieć się nie można, z polskich zaś dzienników w kraju żaden nie ma za Oceanem korespondenta do spraw kościelnych. Korespondent kosztuje, a nasze, wielkie nawet i możne dzienniki, (wyjąwszy *Czas*), poprzestają na tańszym towarze, fabrykowanym na miejscu ze sklejanych kawałków cudzej własności za pomocą nożyc i mączki.

Nie ma wątpliwości, że wpływ sekt protestanckich, od których Ameryka się roi, nie pozostał bez śladu w tym opłakanym kierunku *Niezależnych*, który korespondencya w *Ruchu kat.*, pisana widocznie przez jednego z OO. Jezuitów, wysłanych do Ameryki przez ks. prowincyała Badeniego, oznaczyła jako niebezpieczny. Ale Polak, uczuciowy i serdeczny, nie łatwo da się pociągnąć do zimnego protestantyzmu. Wszakże nawet lud mazurski w Prusach wschodnich, który zaczyna się budzić do świadomości narodowej, tylko przez szalbierstwo od Kościoła został oderwany, a pastorowie jego do dzisiaj w dawne święta Matki Bożej zwołują go do zborów na nabożeństwo. Starokatolicyzm, który zachował hierarchią, kapłaństwo i obrzędy a na sposób protestancki świeckim ludziom, zasiadającym w reprezentacyi synodalnej, przyznał spółrządy w Kościele, które się z czasem naturą rzeczy zamienią w rządy zupełne, w Europie dla pobudek narodowych nieszkodliwy dla Polaków, mógł się stać za Oceanem niebezpiecznym wobec tamtejszej żądzy i praktyki burmistrzowania w Kościele. Długie lata o nim tam zgoła nie słyszano, aż się przed kilku laty pojawił jakiś obieżyświat, Vilatte, dający sobie tytuł arcybiskupa, choć niewiadomo, czy i kiedy był na biskupa poświęcony. Ten awanturnik konsekrował ks. Kolasińskiemu podczas jego schizmy kościół. Kto wie, czy nie jako tajemny agent prawosławia, zapuszczającego swe sieci w Ameryce nie na samych tylko unitów, wywołaniec ów o zagadkowej przeszłości, przedzierzgnął się w starokatolika? *Niezależni* zaczęli się organizować, ale snać nie dowierzali temu wywłoce, bo obrawszy sobie Kozłowskiego biskupem, złożyli mu się na drogę i do Europy wysłali. Chodziły naprzód wieści, że on do Rzymu się uda i papieża o potwierdzenie prosić będzie, tymczasem zawinął on do innego portu, bo niemiecko-starokatolickiego w Bonn.

Jeżeli się potwierdzi wiadomość o jego świętokradzkiej konsekracyi w Bernie szwajcarskim, będzie to wypadek niezmiernie smutny, Dotąd herezye wszystkie przychodziły do nas z cudzych stron: z Czech husycka, z Niemiec luterska i kalwińska. *Niezależni* amerykańscy staną się pierwszą organizacyą sekciarską, która, prawda że na obcej ziemi i śród otoczenia akatolickiego, ale w łonie Polaków samych się wytworzyła. Biskup konsekrowany będzie święcił kapłanów, choćby z organistów i zbiegłych kleryków i postawi ołtarz przeciw ołtarzowi, a insygniami pontyfikalnemi i pompą zechce imponować gminowi, którego wzrok nie sięga daleko, gdy mu zabraknie przewodników a namiętność go zaślepia. Z biskupem i kapłanami wytworzy się prędko tradycya, a ta jak w dobrem tak w złem jest bronią najsilniejszą i potęgą do pokonania trudną. Innowierca, którego może ojciec jeszcze był katolikiem, przez wychowanie staje się tak zapalonym wyznawcą błędu jak katolik prawdy. We Francyi do niedawna istniała a może jeszcze istnieje t. zw. *Petite Eglise*, bez kapłanów, która w niczem od wiary katolickiej wprost nie odstąpiła a składa się z potomków tych Francuzów, którzy w zbytecznej gorliwości religijnej nie chcieli uznać za ważną rezygnacyi tych biskupów, którym Stolica Apostolska przy organizacyi nowych stolic po rewolucyi francuskiej dla dobra ogólnego ustąpić kazała. W Tyrolu w r. b. umarła ostatnia osoba z sekty Manhartów, 90-letnia blisko staruszka, która wiodła życie bardzo przykładne i surowe i wiele się modliła a w uporze odziedziczonym wytrwała aż do śmierci, na wszelkie namowy głucha.

A tradycya religijna odmienna w tym samym narodzie do do zupełnie przeciwnych wiedzie kierunków. Włościanie żmujdzcy, katolicy, choć po polsku nie umiejący, szli do obozów powstańczych tłumnie, aby wiary katolickiej bronić. Z tego samego narodu chłopi kalwińskiego wyznania (jest ich niewiele w okolicy Birż poradziwiłłowskich) chwytali powstańców i w ręce Moskali oddawali.

Niezależny Zbór polski starokatolicki w Ameryce, osiągnąwszy świętokradzkiego ale rzeczywistego biskupa, będzie teraz urągał katolikom: oto mamy polskiego pasterza, a wami rządzą Ajrysze (Irlandczycy) lub Niemcy. Dla tych, którym patryotyzm zastępuje religią, może w tem być do odstępstwa niemała pokusa, zwłaszcza jeżeli i w Ameryce starokatoliccy księża na wzór europejskich swoich kamratów w języku ojczystym mszą św. zaczną prawić. My w kraju bezsilni jesteśmy wobec smu-

[1]) Jednym z ostatnich, przed rokiem, było wypędzenie przemocą z parafii ks. Matkowskiego, niegdyś wikarego w Haliczu, który w Ameryce długo dobrą się cieszył opinią jako proboszcz.

tnego rozkładu, który się pojawił między naszymi spółbraćmi za Oceanem. Nie możemy nawet pragnąć, aby od nas za morze z apostolskiem słowem misyonarze się udawali, bo co było podobne, OO Jezuici już uczynili, a i w ojczyźnie z posiewem zgubnym walczyć trzeba. Ameryka cała jako kraj misyjny dotąd podlega kongregacyi Propagandy, na której czele stoi J. Em. kard. Ledochowski. Tam chyba obmyślą środki dla zażegnania złego, jeżeli to w ogóle jeszcze możliwe.

„Związek kapłański."

(Dokończenie).

8. Zarzut: *Nie potrafię nigdy zmusić się do notowania biuletynów, czyli dziennych sprawozdań.*

Odp. Kto tak mówi, ten mówi innemi słowy: nie potrafię nigdy być punktualnym w moich zobowiązaniach! W rzeczy samej, jeśli jesteśmy punktualni we wszystkiem, w takim razie nie będziemy mieli nic do notowania w biuletynach, ponieważ w nich zapisują się same tylko przekroczenia i brak punktualności. Biuletyny, jak powiedzieliśmy wyżej, to sankcya, to dusza całego dzieła; otoż kto ma doświadczenie w tych rzeczach, ten uznać musi, że dzieło bez sankcyi, jest to dzieło skazane na zagładę w samej swojej kolebce.

Przytem, notowanie biuletynów daje nam sposobność do ćwiczenia się w wielu cnotach: jest w tem akt posłuszeństwa, akt pokory, akt umartwienia, a częstokroć także powód do aktu skruchy i mocnego postanowienia, jeśli zauważymy, że nasze niewierności wzrastają w liczbie i poczynają niepokoić sumienie. Czyż same te względy moralne, nie mówiąc już o innych korzyściach, nie usprawiedliwiają dostatecznie praktyki biuletynów?

Zresztą biuletyny te służyć także mogą wybornie przy wieczornym rachunku sumienia, bez którego nie ma ani postępu, ani wytrwania w dobrem.

Dodać tu jeszcze możemy, że Ojciec św. aprobując Związek chwalił w nim szczególnie tę praktykę, która jak stwierdziło doświadczenie, okazała się niezmiernie pożyteczna do utrzymania stowarzyszonych w pełnej czerstwości ducha.

9. Zarzut: *Nie mogę pogodzić się z myślą kontroli. To przesada! Mam spowiednika — i to mi wystarcza.*

Odp. Spowiednik powołany jest do kontroli tego, co wchodzi w zakres sumienia. To jego dziedzina. Otóż, ponieważ przepisy Związku nie obowiązują pod karą grzechu, przeto, mówiąc ściśle, nie należą one do instancyi spowiednika. Jest to raczej rzecz prostej dyrekcyi, którą nazwać można zewnętrzna.

Przy tem uważmy: albo jesteśmy punktualni w spełnieniu przepisów, albo nie.

Jeśli jesteśmy punktualni, wówczas nie mamy powodu obawiać się kontroli; jeśli zaś nie, w takim razie powinniśmy uważać to sobie za szczęście, że ktoś słowem bratniej miłości upomni nas i do porządku przywoła. Baczmy tedy, aby pod tym zarzutem nie krył się albo brak pokory, albo brak wewnętrznego umartwienia, albo lenistwo nielubiące przymusu, albo kaprys, który ma wstręt do najlżejszego jarzma reguły i porządku!

Z resztą, nie potrzeba zbytecznie przesadzać co do pojęcia biuletynów i kontroli. Oczywiscie notowanie naszych nieakuratności powinno być szczere, ale wolne od skrupułów, bo jak powiedzieliśmy wyżej, nie idzie tu wcale o interes sumienia.

Co się zaś tyczy kontroli, nie bywa ona drobiazgowa, zgryźliwa, lecz kieruje się zawsze szczerą, ojcowską miłością.

Nie ma więc pod tym względem żadnego powodu do niepokoju i trwogi!

10. Zarzut: *Nie mam czasu do spełniania tego wszystkiego.*

Odp. Jeśli w posługiwaniu kapłańskiem zdarzają się dni tak wyjątkowej pracy, że nie możemy podołać wszystkim przepisom regulaminu, w takim razie stosujemy do siebie zasadę: *„ad impossibilia nemo tenetur"*. Lecz czyż możemy utrzymywać, że przy szczerej chęci i przy pewnej ekonomii czasu, nie zdołamy wykonać bodaj rzeczy najistotniejszych, bodaj głównych ćwiczeń pobożnych przepisanych statutami? Znaliśmy kapłanów, którzy, mimo uciążliwej dziennej pracy, znajdowali zawsze czas na te obowiązkowe ćwiczenia. Powiecie może, że jest to heroizm? Zapewne, ale to heroizm, dostępny dla wszystkich!

W każdym jednak razie, gdyby znalazł się np. przepis, którego albo nigdy, albo prawie nigdy nie moglibyśmy zachować — co, mówiąc nawiasem, rzadko zdarzyć się może — wolno prosić prefekta o dyspensę w tym względzie.

Zdarza się słyszeć często: nie mamy czasu na ćwiczenia pobożne!

Ach, strzeżmy się, bracia, aby ta wymówka nie była prostym wybiegiem! Zapewne, posługiwanie nasze jest tak święte i szczytne, że czasem dla pracy kapłańskiej, czy to wyjątkowo naglącej, czy w danym razie dłuższej, musimy opuścić zwykłe ćwiczenia pobożne. W tych wypadkach, jak słusznie powiedziano, opuszczamy Boga dla Boga. Lecz jeśli te opuszczenia wydarzają się często, a co smutniejsza, jeśli przybierają charakter nałogu, wówczas utracimy wkrótce ducha żarliwości, staniemy się prostymi wyrobnikami zewnętrznych posług powołania i czyniąc na pozór dużo, uczynimy mało dobrego!

Jest więc rzeczą konieczną, w najściślejszem słowa tego znaczeniu, abyśmy znajdowali zawsze czas, choćby stosunkowo krótki, na nasze święte ćwiczenia pobożne.

11. Zarzut: *Kapłani, należący do Stowarzyszenia, nie są lepsi od innych.*

Odp. Zarzut ten podobny jest bardzo do tego, który spotykamy często na ustach ludzi światowych: że kapłani nie więcej są warci od zwykłych śmiertelników. Cóż na to odpowiedzieć? Albo to, że rozumują oni *á priori*, albo że błędy niektórych członków kleru rozciągają niesłusznie do wszystkich sług ołtarza.

Nie idzie tu wcale o to i nikt zresztą o tem nie myśli, aby czynić porównanie między kapłanami stowarzyszonymi i nie należącymi do Związku. Lecz niech nam wolno będzie przynajmniej powiedzieć, że jeśli niektórzy duchowni, stojący pod sztandarem św. ligi, nie są lub nie stają się kapłanami prawdziwie wzorowymi, to fakt ten dowodzi tylko, że albo nie korzystają dostatecznie ze środków uświątobliwienia, których im dostarcza Związek, albo że nie są takimi jego członkami, jakimi być powinni.

12. Zarzut: *Nie przyłączę się do Związku, bo mógłbym się przez to narazić na szyderstwa moich sąsiadów.*

Odp. Jest to zarzut całkiem dziecinny. Tym, którzyby szydzili sobie ze mnie, że należę do Stowarzyszenia kapłanów, odpowiedziałbym poprostu: *„każdy dla siebie, a Bóg dla wszystkich!"*

Ależ ci zacni sąsiedzi bluźnią najczęściej temu, czego nie znają! Zapytajcie ich, czy zbadali oni gruntownie dzieło, któremu uwłaczają, a zmuszeni będą wyznać, że nie zadawali sobie tego małego trudu! Znają je oni z luźnych tylko zarzutów, tylko z ogólnikowych krytyk, na które sobie pozwalają pewni, uprzedzeni kapłani.

W każdym jednak razie, kto podnosi taki zarzut, daje dowód małej niezależności i siły charakteru. Zaprawdę, jest to rzecz trudna do uwierzenia, aby wzgląd ludzki mógł wpływać do tego stopnia na dusze wyższe, kapłańskie!

Można też w końcu zapytać: jakiem prawem ci sąsiedzi ośmielają się naganiać dzieło, zatwierdzone i polecone tylokrotnie przez biskupów, papieży, a w szczególności przez dwóch ostatnich Namiestników Chrystusowych na ziemi... Dzieło, ktore sprawiło tyle dobrego w Niemczech w wieku XVII., a w naszych czasach, acz niedawno wskrzeszone, wydaje tak piękne owoce wśród duchowieństwa świeckiego... Dzieło zresztą, które w samej tylko małej Belgii liczy przeszło 1.200 gorliwych i wzorowych kapłanów?!

13. Zarzut: *Gdyby władza dyecezyalna stała na czele Związku, albo przynajmniej, przy danej sposobności, popierała go swoją powagą...*

Odp. Rzeczą jest niezawodną, że tego rodzaju dzieła kapłańskie powstawać powinny z inicyatywy prywatnej i zacho-

wywać zawsze swój prywatny charakter. Tą regułą kierował się założyciel Związku kapłańskiego w Niemczech; w tym też duchu postępowali odnowiciele jego myśli w Belgii i Francyi, bo mieli przekonanie, że wszelka bezpośrednia ingerencya władzy, zamiast dopomódz dziełu, mogłaby mu raczej zaszkodzić.

Dość dla nas tej pewności, że wszyscy biskupi francuscy i belgijscy, bez żadnego wyjątku, są przychylni Związkowi i pragną jego pomyślnego rozwoju. Co się zaś tyczy zanadto głośnych objawów sympatyi w tym względzie, tych się wystrzegają z obawy, aby nie przystępowano do Stowarzyszenia w chęci raczej podobania się biskupom, niż w widokach uświęcenia własnego.

14. Zarzut: *Na co ten Związek? Czyż nie można uświątobliwić się i bez niego?*

Odp. Zapewne, można się uświątobliwić i bez Związku, czemu nikt zgoła nie przeczy. Gdyby to było niemożebne, cóżby myśleć należało o klerze z owych czasów, kiedy Związek kapłański albo jeszcze nie istniał, albo nie był wznowiony, jak jest w dobie obecnej? A jednak byłoby szaleństwem zaprzeczać, że Kościół miewał zawsze dobrych, żarliwych i prawdziwie świętych kapłanów.

Alboż i dziś, iluż to jest kapłanów, celujących świętością życia, którzy nie należą do Związku i którym może nie przyjdzie nawet na myśl zostać jego członkami!

Wszakże biorąc duchowieństwo świeckie w ogóle, twierdzimy z całą stanowczością, że Związek Holzhausera, uważany jako środek pomocniczy do budzenia i pielęgnowania ducha kapłańskiego, jest dlań nie tylko niezmiernie pożyteczny, ale nawet, ze względu na czasy i stosunki w jakich dzisiaj żyjemy, prawie bezwarunkowo konieczny. Dodamy jeszcze i to, że skoro Ojciec św. Leon XIII. nazywa tę instytucyę dziełem opatrznościowem, przeznaczonem jakby umyślnie na nasze smutne czasy, niepodobna przeto nie brać jej w ścisłą rachubę — szczególnie zaś jeśli przypomniemy sobie słowa, któremi wielki papież kończy swoją pochwałę i swoje uznanie dla Związku: „*upominamy i zachęcamy wszystkich kapłanów świeckich, aby się zaciągali do tego zbawiennego Stowarzyszenia, mamy bowiem przekonanie, że to przyczyniłoby się skutecznie nie tylko do ich dobra osobistego, ale także do dobra i tryumfu Kościoła*".

ROZDZIAŁ VIII.

Konkluzya.

Wszystkich księży braci, a zwłaszcza uprzedzonych, prosimy najusilniej, aby raczyli pracę naszą odczytać. Czytając ją, oświecą się, ocenią i pokochają to, co dziś dla nich nie ma uroku. Za światłem pójdzie przekonanie, za przekonaniem decyzye — i może w krótkim czasie będą oni mieli szczęście zaliczyć się do członków Związku, który klerowi świeckiemu daje potężne środki do uświęcenia życia, do wytrwania w duchu żarliwości i wogóle zapewnia wielkie moralne korzyści.

Lecz najbardziej pragniemy, aby to nasze wezwanie znalazło odgłos przychylny w sercach młodszego kleru, tj. w sercach tych młodych lewitów, którzy ledwie wypuszczeni z pod skrzydeł seminaryów, na pierwszych zaraz krokach swojej drogi kapłańskiej rozpocząć muszą zapasy z całym szeregiem pokus, trudności i różnych niebezpieczeństw.

Zapewne do tych ciężkich zapasów są oni przygotowani, bo już mądre nauki i rady przewodników, już ścisła karność, której byli w seminaryach poddani, zaszczepiły w nich ducha porządku, punktualności i męskość charakteru; ale czy te zasoby na długo im wystarczą? Niestety, doświadczenie mówi inaczej! Choć tedy narazimy się słusznie na zarzut repetycyi, uważamy wszakże za stosowne powtórzyć im tu słowa wymownego francuskiego Biskupa, które już przytaczaliśmy wyżej: „Ile to młodych lewitów opuszcza seminarya z podziwienia godnem usposobieniem, ze św. zapałem, z gorącą pobożnością i zasobem życia wewnętrznego, które mogłyby uczynić z nich kapłanów iście świętych, gdyby w tem wszystkiem wytrwać mogli do końca!

„Lecz niestety, pomoc i łaski przywiązane do wspólnego życia, jakie prowadzili w seminaryach, opuszczają ich z chwilą, kiedy żegnają te św. ustronia! Otoż nagle pozostawieni samym sobie, smutnie odosobnieni i rzuceni prawie bez broni w zamęt rozprószeń światowych, słabną oni stopniowo na duchu, stygną w pobożności, tracą pierwotną gorliwość — słowem, z kapłanów wiele obiecujących, z kapłanów, którzy mogli byli urość na znakomitych pracowników ewangelicznych, stają się często przez resztę swego życia kapłanami miernej albo wątpliwej wartości.

„Coż więc czynić należy, aby zapobiedz temu smutnemu końcowi tak pięknych nadziei? Potrzeba koniecznie, jak już powiedziałem, organizować Związki czyli stowarzyszenia kapłańskie, któreby na dalszej drodze życia były dla nich niejako przedłużeniem zbawczej opieki seminaryów, a więc utrzymywały ich na tej wyżynie ducha, na jakiej stali w chwili przyjęcia kapłaństwa. Takie Stowarzyszenia, w których grupowaliby się kapłani poszczególnych dyecezyi, przynosiłyby nieocenione korzyści, bo przez potężne środki moralne, któremi rozporządzają, przez czujność i gorliwośc wzorowych przewodników, przez silną podporę św. reguły, przez łączność ze współbraćmi gorętszego ducha, przez wspólnictwo modłów i dobrych uczynków, przez ćwiczenia duchowne i upomnienia braterskie — budziłyby i rozwijały w klerze tę czystość, tę energię i siłę ducha kapłańskiego i apostolskiego, które, niestety, tak często i tak smutnie zanikają wskutek słabości ludzkiej i dla braku podpory moralnej, zdolnej umocnić jej chwiejność".

Oby wymowne te słowa trafiły do serca tych pobożnych neopresbyterów, którzy opuszczając co roku seminarya, te ustronia modlitwy i nauki, spieszą zasilać szeregi robotników ewangelicznych! Oby chcieli oni ocenić, jak potężne środki do wytrwania w dobrem znaleść mogą w Związku kapłańskim — i oby kupili się jak najliczniej pod jego chwalebnym sztandarem!

Bł. Piotr Kanizyusz.

Z dniem 21. grudnia 1897 upływa lat 300, odkąd błogosł. Piotr Kanizyusz dokonał apostolskiego żywota. W obszernych dziełach uczeni wykazali, co Kanizyusz zamierzał, czego dokonał, jaki wpływ wywarł na dzieje swojego stulecia. Wykazano, że między znamienitymi mężami owego wieku należy mu się miejsce honorowe. Mianowicie to uczynił O. Floryan Riess T. J. w kilku pismach, a także słynny historyk. Jan Janssen, w IV. tomie Historyi narodu niemieckiego, O. Otton Braunsberger T. Jez. przez wydanie listów i aktów Kanizyuszowych dostarczył przyszłym biografom błogosławionego sługi Bożego ciekawego i cennego materyału. Z dzieł tych niechaj nam wolno będzie zaczerpnąć i przedstawić kilka szczegółów. Gdy Niemcy katolickie wspaniałemi uroczystościami zamierzają uczcić trzechsetną rocznicę świętej śmierci wielkiego pedagoga, nam nie wypada zapominać, że jego działanie nie ograniczyło się na Niemcy, skoro katechizmy Kanizyuszowe po łacinie, po polsku i po francusku w rozmaitych czasach tłoczono w polskich drukarniach.

Urodzony dnia 8. maja 1521. r. Nymvegen, syn uczonego jurysty, Jakóba Kanis, Kanizyusz odbył studya w Kolonii, poczem wstąpił do zakonu OO. Jezuitów.

Ogólne zdziczenie obyczajów w Niemczech bolało wielce Kanizyusza. Jakoż w istocie rola, na której miał rozpocząć pracę, była zupełnie zachwaszczona. Bulla kanonizacyjna, wyliczając zasługi błogosławionego sługi bożego, podaje nam wierny obraz ówczesnych stosunków. „Zastał on, powiada, głębokie zepsucie obyczajów u ludu, upadek karności w duchowieństwie, zaniedbanie służby bożej, stronienie od Sakramentów św., brak pasterzy po miastach. Walkę ze złem podjął słowem i przykładem. Dbały przedewszystkiem o przywrócenie rzetelnych studyów w wyższych zakładach naukowych, wytrwałą pracą tego w końcu dopiął, że na katedry powoływano tylko wypróbowanych katolików, wszędzie zaś wykładano teologią scholastyczną, ktorej bardzo lękali się protestanci, widząc w niej słusznie niezachwiane świadectwo prawdy katolickiej."

Kanizyusz na uniwersytecie w Ingolstadt.

Ustawiczny wzrost kacerstwa niemałą troską napełniał księcia Wilhelma bawarskiego. Całe północne i zachodnie Niemcy

zagarnęli już nowatorowie. Niektóre powiaty Westfalii i elektorat koloński tworzyły wśród ogólnej apostazyi wyspy, zewsząd wystawione na gniewne pociski fal spienionych. Wprawdzie Niemcy południowe zachowały jeszcze charakter katolicki, wszelako zwolna ubywało i tam Kościołowi wiernych i ziemi. Podobne stosunki panowały również w Austryi, chociaż tu herezya nie zdołała tak zakorzenić się, jak gdzieindziej.

W tych warunkach książe zwrócił się o pomoc do św. Ignacego i prosił go o przysłanie kilku profesorów, by dźwignęli u p a d a j ą c y uniwersytet w Ingolstadt. Św. Ignacy z przenikliwością sobie właściwą poznał, czego potrzeba i oświadczył księciu, że kilku profesorów niczego nie dokaże, jeśli nie będzie kollegium. Wilhelm zgodził się na propozycyą i przyrzekł ze swej strony pomoc.

Dnia 13 listopada 1549 r. zjechało do Ingolstadt z Rzymu trzech ojców: Alfons Salmeron, Klaudyusz Jajus i Piotr Kanizyusz. Chcąc z należytą powagą wystąpić wobec uniwersytetu, wszyscy trzej wpierw odbyli promocyą w Bononii i uzyskali stopień doktorów.

Wjazd ich do Ingolstadt miał wszystkie cechy podniosłej uroczystości. Książe Wilhelm kazał już poprzednio ogłosić przybycie zakonników. Na spotkanie ich wyszło całe kollegium profesorów, kanclerz uniwersytetu, Maurycy von Huthen, biskup z Eichstatt i rektor Zoanetti. Mowę powitalną po łacinie wygłosił jeden z profesorów filozofii. O. Kanizyusz odpowiedział w tymże języku, dziękując za serdeczne przyjęcie. Piękne zwroty łacińskie, jakich użył, usposobiły dlań przychylnie profesorów zaraz na wstępie.

Ojcowie zamieszkali w dawnem kollegium, w budynku uniwersyteckim, stołowali się zaś w przeciwległem kollegium nowem, Georgianum, które założył książe Jerzy jako konwikt bezpłatny dla uczącej się młodzieży. (Później fundacyę tę wraz z uniwersytetem przeniesiono do Monachium.) Stary manuskrypt [1]) świadczy, że sąsiedztwo swawolnych studentów cierpliwość ojców wystawiało nieraz na ciężką próbę.

Wnet rozpoczęto wykłady. Salmeron tłómaczył list do Rzymian; Kanizyusz wyjaśniał sentencye Piotra Lombarda, O. Klaudyusz komentował Psalmy.

Nauka rozpoczynała się i kończyła modlitwą. Zrazu nowi profesorowie mieli przed sobą ławy prawie puste. O. Klaudyusz pisał: „Postquam venimus Ingolstadium et lectiones coepimus theologicas profiteri, reipsa quidem comperimus, conatus hosce nostros.. parum aut certe nihil hic profuturos, cum deessent auditores“.

W krótkim atoli czasie przybysze zjednali sobie swymi wykładami sympatyą tak profesorów jak uczniów. Doktorowie, chcąc publicznie wyrazić im uznanie, kazali przybić na drzwiach akademii następujące ogłoszenie: „Niepodobna wypowiedzieć radości, jaką sprawiło nam przybycie trzech teologów: Klaudyusza Jajusa, Alfonsa Salmerona i Piotra Kanizyusza. Obecnością swoją bynajmniej nie osłabili dobrej opinii, która ich poprzedziła, owszem umocnili ją niepomiernie. Szczególniejszy sposób wykładu Pisma św., wielkie zdolności okazane w innych działach nauczania, a w końcu świętość życia nie tylko dorównały powszechnemu oczekiwaniu, lecz nawet je przeszły“. Szkoda, że doktorowie przykładu ojców nie naśladowali, lecz pozostali jak dawniej katolikami z imienia ku własnej i studentów zgubie.

Jezuici musieli zadowalać się miernymi owocami swej pracy. Z nielicznych jednostek, które poświęcić się chciały studyom teologicznym, znaczna część nie miała koniecznego wykształcenia przygotowawczego. Aby te braki usunąć, Kanizyusz nie poprzestawał na samych wykładach publicznych, lecz dawał prywatne lekcye, rozumie się, bezpłatnie.

Co, gorsza przeważna część przyszłych sług ołtarza nie posiadała potrzebnych kapłanom warunków etycznych. W owych czasach wybór stanu kapłańskiego wcale nie przedstawiał ponętnych widoków; owszem, wobec zuchwalstwa kacerskiego kapłani narażeni byli na prześladowania, a nawet męczeństwo za wiarę. Nic dziwnego, że zastęp kandydatów był szczupły; dla wielu z nich stan kapłański był ostatnią deskę ratunku, której chwytali się po burzliwem życiu. Również dotkliwie dawał się odczuwać brak profesorów teologii. Podczas żałobnego nabożeństwa za duszę Dr. Ecka, zmarłego w Ingolstadt 10. lutego 1543 r., cały wydział teologiczny reprezentował jeden i jedyny doktor i profesor teologii, Bernard Marstaller z Norymbergi. Czy mógł jeden człowiek bronić skutecznie Kościoła i religii na uniwersytecie herezyą zagrożonym, a nawet już po części heretyckim? W październiku tegoż roku zgłosiło się do doktoratu dwóch kandydatów: Jerzy Flach, późniejszy przeor Benedyktynów w Plankstetten i Oswald Fischer, proboszcz kościoła N. P. Maryi w Ingolstadt. Marstaller, jako zastępca kanclerza, znalazł się w trudnem położeniu, gdyż sam nie mógł przecież promowować. Szczęściem zjechał był właśnie wtedy z Monachium do Ingolstadt nuncyusz papieski, Robert Vaukopius. Skorzystano z tej sposobności i przy współudziale nuncyusza promocye odbyły się w porządku.

W prelekcyach swoich Kanizyusz miał sobie zawsze za cel główny wszczepianie miłości Chrystusa P. w dusze słuchaczów. W tej intencyi starał się poufałem obcowaniem z uczniami pozyskać sobie ich serca, co mu się też bez wielkiego trudu udawało. Wpływ jego na tych, którym nie zbywało na dobrej woli, był bardzo skuteczny.

Za główny środek wychowawczy uważał częste przystępywanie do Sakramentów św. Cieszył się też bardzo, gdy udało mu się w końcu małą gromadkę uczniów (około dziesięciu) skłonić do regularnej spowiedzi i Komunii św.

Korzystając z uprzejmego zezwolenia regensa kollegium Georgianum, Kanizyusz miewał każdej niedzieli i święta do wychowańców tego zakładu łacińskie przemowy.

Powodowany gorliwością, rozpoczął w poście także niemieckie kazania do ludu, które wygłaszał bądź w głównym kościele miejskim, bądź w kaplicy cmentarnej. W kazaniach tych upominał słuchaczy raz poraz, aby nie wstydzili się wyznawać publicznie swojej wiary. W tych czasach bowiem, jak pisał pod dniem 2. stycznia 1552 do jenerała zakonu „uważano w Niemczech za wstyd modlić się publicznie w kościele“. Aby usunąć to złe, modlił się sam klęcząco przed kazaniem i po niem i starał się za sobą lud pociągnąć.

Również dzieci przyzwyczajał do publicznego nabożeństwa. Jeszcze dziś wskazują miejsca, na których Kanizyusz, jak św. Fr. Xawery w dalekich Indyach, zbierał młodzież, skąd po skończonej nauce prowadził ją gromadnie wśród modlitwy przez ulice miasta. Takie publiczne modlitwy, odwiedzanie kościołów, odmawianie litanii, odprawianie nieszporów zalecał jako najskuteczniejszy środek do zwalczenia fałszywego wstydu i bojaźni światowej.

Już w drugim roku swojej pracy na uniwersytecie Kanizyusz otrzymał 18 paźdz. 1550 r., z pominięciem postanowień aktu fundacyjnego, godność rektora. Długo wahał się, czy ma przyjąć ten urząd. Rozumiał bowiem dobrze, jak wielką odpowiedzialność bierze na siebie, podejmując się kierownictwa młodzieży, która obok wielu istniejących przywilejów rościła sobie także pretensye do zupełnej swobody religijnej. W końcu jednak ustąpił namowom w nadziei, że większa władza, jaką składano w jego ręce, posłuży mu do pomnożenia chwały Bożej.

Powagi swego urzędu użył natychmiast do tego, aby przeprowadzić surowy zakaz sprzedaży na uniwersytecie książek heretyckich, co mu się też udało. Zauważono także, że podczas jego rektoratu młodzież w czasie zapust była niezwykle powściągliwa. Wpływ zatem był widoczny.

Dawną wolność akademicką poddał surowej ocenie i wszystko to, co sprzeciwiało się celom naukowym na uniwersytecie lub szkodziło obyczajom, usunął.

Pod najsurowszemi karami zabroniono młodzieży zachowywać się niewłaściwie w kościele i przeszkadzać wiernym w nabożeństwie. Względem ekscendentów był wprawdzie łagodnym lecz stanowczym.

Gdy Kanizyusz złożył już urząd rektora, nie chciał żadną miarą przyjąć należnego honoraryum, tłómacząc się, iż reguły nie pozwalają mu na to. Prosił, aby kwotę tę obrócono na pobożne cele. Aby mieć Kanizyusza jak najdłużej w Ingolstadt, ofiarowano mu urząd wice-kanclerza. Z tem stanowiskiem po-

[1]) Summarium de rebus Collegii Ingolstadiensis.

łączone były bogate dochody jednej z kanonii w Eichstatt. Kanizyusz nie chciał przyjąć tej godności, powołując się na reguły zakonne. Dopiero na wspólne prośby księcia Albrechta, biskupa Maurycego i senatu akademickiego jenerał zakonu, św. Ignacy, pozwolił wyjątkowo na objęcie owej posady z tem atoli zastrzeżeniem, że Kanizyusz ani insygniów nie będzie nosił, ani pobierał dochodów.

Tymczasem nadzieja założenia kollegium w Ingolstadt zmniejszyła się znacznie. Św. Ignacy uważał więc za wskazane, naznaczyć błogosławionemu inne pole działania.

Król Ferdynand poznał był O. Klaudyusza u biskupa augsburskiego, kard. Ottona i pozyskał go, za zezwoleniem św. Ignacego, wraz z innym doktorem teologii dla uniwersytetu wiedeńskiego. Św. Ignacy przeznaczył do Wiednia także O. Kanizyusza, który otrzymał rozkaz, aby w przeciągu dziesięciu dni po otrzymaniu pisma był gotów do podróży. Daremne były wszelkie przedstawienia księcia Albrechta, biskupa Maurycego i akademickiego senatu. Ostatniego lutego, który przypadał na niedzielę, Kanizyusz pożegnał się z ambony z miastem. Król Ferdynand wysłał umyślnego urzędnika dworu, aby towarzyszył ojcom w drodze do Wiednia.

Roczniki uniwersytetu ingolstackiego nazywają Kanizyusza „mężem niezwykłego ducha" (divini propemodum ingenii), „mężem niezrównanej nauki", „znakomitym filozofem, głębokim teologiem, biegłym mówcą, pełnym powagi i ujmującym kaznodzieją".

Książe Albrecht w liście do św. Ignacego z 20. maja 1554 r., podnosząc zasługi błog. Kanizyusza i ubolewając nad jego utratą, tak pisał: „Vestri ordinis Societatis Jesu theologos omnes ab Ingolstadiensi academia nostra avocatos, permoleste tulimus. Nam et doctrina et vitae sinceritate non solum Doctorum munere inter scholares, sed et concionatorum ad populum magno cum fructu feliciter functi sunt". (C. d. n.)

X. J. G.

Bibliografia.

Kazania świątalne i przygodne opracował ks. Tomasz Dąbrowski katecheta gimnazyalny. Wydanie trzecie przerobione i znacznie pomnożone. Stanisławów, 1897. str. 624 w 8-ce. Cena egzemplarza u autora 2 złr. 60 ct., z przesyłką pocztową 2 złr. 75 ct.

W pokaźnym tomie autor umieścił kazań 47 na uroczystości kościelne, przygodnych nauk 34. Do rzeczy wydrukowanych w r. 1883 i 1892 obecnie ks. Dąbrowski dodał dwadzieścia kazań nowych, a dawniejsze przerobił, głównie ten cel mając na oku, aby nauki były do spamiętania łatwe, praktyczne, a dla ludu przystępne. Książka jest więc nie tyle wydaniem trzeciem, ile raczej nowem dziełem, osnutem na tle materyału w dawniejszych latach ogłoszonego. Nie potrzebujemy polecać autora, który od lat z górą dwudziestu z pożytkiem pracuje na niwie literatury kościelnej. Przekonani jesteśmy, że jego najświeższa książka sama utoruje sobie drogę do plebanii i odda braciom kapłanom rzetelne usługi.

Najśw. Rodzina, kalendarz dla rodzin chrześcijańskich. Wydawca ks. Zosel T. J. Cena 40 ct.

Wielki kalendarz Maryański dla ludu katolickiego. Cena 40 ct. Wydawca ks. Władysław Sarna, pleban szebieński. Nakładem J. Steinbrenera w Winterberdze.

Lekceważymy literaturę kalendarzową jako równoznacznik tuzinkowych ramot, banalnych nowel; „kalendarzowy" dowcip, „kalendarzowa" rada jest eufemizmem na określenie płytkiego humoru i namacalnego bezsensu. Rozlewająca się jednak corocznie istna powódź przeróżnych kalendarzy i kalendarzyków świadczy najlepiej, jak one są poczytnemi, ilu mają jawnych i nieprzyznających się do tego przyjaciół. Ktoby w samym Lwowie zliczył kalendarzowe wydawnictwa? Mamy kalendarz *Macierzy polskiej* i *Śmigusa*, *Haliczanina* i *Lwowiankę*, kalendarz dla kolejowców, nauczycieli, *Bławatek* dla pań, kalendarz krakowskiego Towarzystwa Ubezpieczeń (wydawca p. Bolesław Lewicki). Nawet tak niepowołani jak p. Leon Bodek, handlarz papieru i piór z ul. Ormiańskiej, mówiący stale żargonem żydowskim, raz w rok bawi się w literata i wydaje od lat swój *Kalendarz ilustrowano powieściowy*.

Tradycya zrobiła z kalendarza niezbędną książkę w rodzinie; obyczaj i potrzeba każe zaopatrzyć się w jakiś noworocznik. Ale w jaki? Wobec mnóstwa kalendarzy przeróżnych nazw i odcieni rozpoczyna się tu prawdziwy kłopot dla nabywcy. Kalendarze, spychając się wzajemnie z pola w walce konkurencyjnej, wyprzedzają się nawzajem nietylko wcześniejszem zjawianiem się (niektóre z nich na rok 1898 puszczono już w maju b. r. w handel), ale i bogactwem treści, różnorodnością powiastek i tłustością dowcipów „w humorystycznym kąciku". — Współzawodnictwo wydawców utrzymuje i ceny na tej samej wysokości. Ostatecznie doszło do tego, że za koronę otrzymuje się kalendarz z 15—20 arkuszy druku. Wątpliwości zatem, jaki nabyć kalendarz, przecina się też zazwyczaj kupowaniem pierwszego lepszego z brzegu. A przecież do tego kupna właśnie należałoby przystępować z wielką ostrożnością. Kalendarz obok pism codziennych jest najulubieńszą lekturą wszystkich warstw społecznych, zwłaszcza na wsi, wśród ludu i małomieszczan. Przechodzi z rąk do rąk, czytają go starzy i młodzi, rodzice, dzieci i służba, czytają sąsiedzi i znajomi; jego treść wpija się w dusz tysiące, staje się duchową własnością niezliczonego zastępu czytelników, raz wchłonięta żyje i pracuje we wszystkich jego dalszych wyobrażeniach, myślach i uczuciach. W sferze ducha panuje też prawo ciągłości myśli i jej rozwoju. Kalendarz zatem, wchodząc poniekąd w inwentarz domowego ogniska, należąc, że tam powiemy, do jego laurów i penatów, powinien zawierać treść, nie obrażającą w niczem wieczyście prawdziwych zasad religijno-moralnych; jego dowcip nie może być bryzganiem jadu na Kościół i kler, jego poezya i powieść nie powinna otaczać nimbem grzechów *contra sextum* i ujmować w złoto — kałużę błota. Z tej zasady wyszedł J. Steinbrener, w Winterberdze, odznaczony przez Leona XIII. krzyżem kawalerskim św. Sylwestra za wydawnictwa treści religijnej, a nadto postanowił wprost zrobić kalendarz głosicielem chwały bożej. Nakładem jego wyszły tego roku: wielki kalendarz Maryański i Najśw. Rodzina O. Feliksa Costa T. J. Pierwszego ułożeniem zajął ks. Władysław Sarna, pleban szebieński. Pod względem układu treści i formy powinszować mu tylko należy autorstwa. Dobór powiastek i nowel nie obliczony dla literackich smakoszów, ale dla ludu i onych maluczkich, którym w pierwszym rzędzie Chrystus głosił swoje królestwo. We wszyskich dźwięczy serdeczna nuta prawdziwej, głębokiej pobożności, rzewne uczucie przywiązania do Najśw. Panny, miłość ku temu wszystkiemu, co szczerze katolickie i polskie. Język barwny i piękny, obrazowanie naturalne, czasami porywająco piękne. Jeżeli tu i owdzie napotka się stylowe usterki, to wobec zacności myśli niknie wadliwa budowa okresów, niewłaściwe używanie form biernych, trącące niemczyzną skwapliwe dodawanie zaimków dzierżawczych „swój", „swoja", „jego", „ich", bez których wygodnie obejśćby się mogło. Wystarczy przecież powiedzieć „odwrócił głowę", bez wyszczególniania: „swą głowę".

W artykule: „katolicyzm Adama Mickiewicza", opracowanym z całą skrzętnością, ks. Sarna pokazał prawdziwy talent publicystyczny. Takie w nim trzymanie się raz obranego przedmiotu i ścisłość i jędrność.

Kalendarz, który p. t. „Najśw. Rodzina" w tym samym nakładzie wydał O. Zosel również odznacza się doborem treści i starannem opracowaniem. Jestto jedna z najlepszych książek budujących, które w roku bieżącym wykazuje nasza literatura ludowa.

Zapewne, wolelibyśmy polecać jakąś firmę krajową, skoro jednak tak złożyły się stosunki, że w kraju obecnie nie pojawił się żaden kalendarz, zdecydowanie katolicki, słuszność nakazuje nam nie odmawiać p. Steinbrenerowi zasłużonej pochwały.

K. Wr.

Preludya na organy, ułożył Stefan Surzyński, dyrygent chóru przy katerze tarnowskiej, Serya II. Tarnów, nakładem księgarni K. Raschki. Cena 1 zł. 80 ct.

Zapytywano nieraz, dla czego po preludya zawsze trzeba udawać się za granicę? Czy to nie mamy zdolnych kontrapunkcistów i znawców harmonii? P. Stefan Surzyński pracą obecną, której się podjął z zapałem, przybrawszy do pomocy dwóch fachowych współpracowników, dowiódł nam, ze swoich kompozytorów kraj nasz nie potrzebuje się wstydzić. Żałować wypada, że pomimo odezwy umieszczonej w „Muzyce kościelnej", zapraszającej do poparcia i nadsełania preludyów do drugiej seryi, nie zgłosiła się większa liczba kompozytorów. — Co do samej treści poszytu drugiego, wszystkie preludya są wynikiem wytrawnej pracy na polu nauki harmonii, ale rozumie się, że nie wszystkie wszystkim jednakowo się będą podobały, gdyż każdy grający ma osobisty gust muzykalny i swoje zdanie osobiste. Słusznie dano preludyom nazwę „oryginalnych utworów". Czyniono zarzuty, że w niektórych preludyach uderzają częste powtarzania tematów w jednej i tej samej pozycyi np. nr. 8 (Preghiera), że przejścia akordowe są za nagłe (N. 2, G. dur), inni zaś wyrażają życzenie, aby preludya niektóre trzymane były w duchu więcej poważnym, kościelnym i spokojniejszym, aby w prowadzeniu głosów unikano raptownych skoków, lecz sądzimy, że to i tamto jest dowodem pracy o r y g i n a l n e j i znajdzie zwolenników, a wszystkim dogodzić trudno. Z naszej strony polecamy preludya i życzymy im rozpowszechnienia. Szkoda, że cenę zeszytu za wysoką, jak na stosunki nasze, oznaczono; niezamożny organista długo się będzie namyślał, nim je kupi.

Fr. Sadok Werberger,
Ord. Praed.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Rzym. Kapitan Ciccodicola, który jako przedstawiciel Włoch udaje się na dwór Menelika, otrzymał polecenie doręczyć mu rozmaite pamiątki po kardynale Massaia. Słynny kardynał - kapucyn, zasłużony tak we Włoszech jak w Abissynii, był u Menelika w wielkiem zachowaniu.

— Kilku świeckich urzędników dataryi wydalono z powodu popełnionych nieprawidłowości. Prasa antyklerykalna cieszy się tem niezmiernie, zapominając, że to wszędzie się wydarza. Ojciec św. dokonywa obecnie zmian w organizacyi dataryi, o czem naturalnie prasa liberalna wiedzieć nie może. Nowoczesne ułatwienia komunikacyjne przysporzyły dataryi niemało czynności. Dlatego dawniejsze urządzenia wymagają zmian. Z niemi łączą się pewne oszczędności.

— Bawi w Rzymie arcybiskup Msgr. Tonti z Port - au - Prince, będący zarazem delegatem apostolskim Haiti, Domingo i Venezueli. Zwykle delegat apostolski jest tylko biskupem tytularnym. Aby zaprowadzić oszczędności, mają być niektóre metropolie w rzeczach pospolitych Ameryki południowej połączone z delegaturami apostolskiemi. Ojciec św. oczekiwał przyjazdu Msgra. Tonti, aby przystąpić do nominacyi.

— Ojciec św. mianował kardynała arcybiskupa Sancha y Hervaz arcybiskupem prymasem toledańskim i patryarchą indyjskim. Kardynał cieszy się w Hiszpanii wielkiem uznaniem; jest organizatorem kongresów katolickich w Hiszpanii.

— Uniwersytet gregoryański ma przeszło tysiąc słuchaczów. Kollegia Propagandy i Minerwy mają także liczniejszą frekwencyą.

— Siostra Filomena Prosperi Buzi, krewna Ojca św. Leona XIII., zmarła w klasztorze Corvi w 80. roku życia. Jako dziecko weszła do klasztoru i pozostała w nim całe życie. Była wzorem zakonnicy, wyposażonej we wszelkie cnoty.

— Zazwyczaj liczbę katolików na świecie oznacza się na 200 milionów, a katolicy temu wierzą. W istocie jednak liczba katolików zbliża się raczej do 300 niż do 200 milionów. *Osservatore Romano* na podstawie źródeł jeszcze przed laty dziesięcioma podawał ją na 250 — 275 milionów. Liczba ta opierała się na raportach biskupów, wikaryuszów i prefektów apostolskich. Od tego czasu wskutek przyrostu krajów misyjnych wzrosła o tyle przynajmniej, że do 300 milionów nie wiele braknie, a 270 milionów przyjąć można z pewnością.

— Msgr. Gasparri, prałat domowy J. Ś., profesor prawa kanonicznego w instytucie katolickim w Paryżu, ozdobiony krzyżem oficerskim legii honorowej, otrzymał nominacyą na tyt. arcybiskupa i apostolskiego delegata w południowo - amerykańskich rzeczachpospolitych Peru, Bolivii i Ekwadora z siedzibą w Limie. Msgr. Gasparri jest rzymianinem i już przed laty 20 był profesorem teologii u św. Apolinarego a prawa kanonicznego w Propagandzie.

— Jak wychodzący w Montrealu *Star* donosi, Ojciec św. wydał orzeczenie o kwestyi szkolnej w Manitobie. Katolicy nie mają dzieci swoich posyłać do szkół publicznych, lecz, dopóki państwo odmawiać będzie subwencyi, zakładać własnym kosztem szkoły wyznaniowe, domagając się jednak przy każdej sposobności swoich praw konstytucyjnych. Czynić to jednak powinni nie na drodze napastliwej i nieprzyjaznej, lecz pokojowej, starając się o przekonanie innowierczych współobywateli o sprawiedliwości i słuszności swojej sprawy

— Mylne jest zdanie, jakoby świat artystyczny w Rzymie wyparł się zupełnie życia katolickiego. Owszem od lat dwóch istnieje w Rzymie cech artystyczny, który, mając siedzibę stałą w *Anima*, zbiera się jednak w rozmaitych miejscach. Kierownikami są przewodnik duchowny i wybrany mistrz - artysta. Cech pragnie gromadzić przybywających do Rzymu artystów, urządza dla nich wykłady naukowe i ćwiczenia praktyczne. Członkami są tylko artyści, mogą jednak być także uczeni, którzy poświęcili się kwestyom naukowo - artystycznym. Kierownikami są Msgr. Nagl i profesor Seitz.

— Niemiła sprawa procesu ks. Brugidon o oddanie kościoła św. Joachima skończyła się. Gdy zastępca Msgra. Onesti ogłosił apelacyą od wyroku pierwszego sędziego i wyznaczono rozprawę, ks. Brugidon przez usta swego adwokata zrzekł się skutków prawnych pierwszego wyroku. Brakło więc przedmiotu sporu, a sąd uznał proces jako niebyły.

Austrya. S a l z b u r g. W dniu 19. zm. akademickie stowarzyszenie uniwersyteckie urządziło uroczystość doroczną. Między gośćmi byli kardynał książę biskup Haller, książę Lichtenstein, członkowie kapituły i w. i. Wybitną chwilą uroczystości była przemowa ks. Lichtensteina, który w słowach głęboko obmyślanych, a pełnych zacięcia i humoru piętnował obóz nieprzyjacielski, opierający się założeniu uniwersytetu katolickiego. Przedewszystkiem należycie wyświetlił banalne twierdzenie przeciwników, że umiejętność jest wolną. Prawda jest jedynym celem prawdziwej nauki. Kościół katolicki jest jedynym przedstawicielem prawdy, a więc prawdziwy uczony w poszukiwaniach swoich może iść tylko za Kościołem katolickim. Drugą część mowy poświęcił kwestyi prawnej założenia uniwersytetu katolickiego w Salzburgu. W części trzeciej ośmieszył program pewnych parlamentarzystów i burszenszaftów, którzy rozwinęli sztandar pangermanistyczny. Wreszcie wykazał, że uniwersytet nie napotka poważnych trudności ze strony państwa i że pesymiści a małoduszni tylko przechodzą do obozu przeciwników. Ks. kardynał w ciepłych słowach zakończył uroczystość, wzywając związek akademicki do gorliwej pracy i wyrażając życzenie, aby kler w pracy swojej doznawał poparcia świeckich, którzy w Austryi mają wogóle zbyt mało odwagi ku popieraniu przedsięwzięć katolickich.

Węgry. Stolica apostolska zabroniła posługiwać się liturgią węgierską w kościele grecko - katolickim, a prasa liberalna szczuje z tej przyczyny przeciw Rzymowi, pragnąc wywołać w Węgrzech walkę kulturną. Powód był następujący: gk. biskupi z Munkacza i Przerowa wobec dekretu kongregacyi rozkrzewiania wiary z 26. września z. r., którym zakazano wprowadzenia liturgii węgierskiej, wysłali przedstawienie do Rzymu, prosząc o zarządzenie nowych dochodzeń w tej sprawie. Prośbę uwzględniono, zebrano znowu i przestudyowano materyał, a na jego postawie wydano ponowną decyzyą, w której pierwszą potwierdzono, obu biskupom zaś udzielono nagany za przedstawienie i kazano spalić księgi liturgiczne używane bez zezwolenia Rzymu. To rozgniewało prasę liberalną: doradza ona wysłanie deputacyi stuosobowej do króla z prośbą o zaopiekowanie się liturgią węgierską w Rzymie. Wątpić należy, czy przyjdzie do tego kroku, zgoła niestosownego w kwestyi czysto kościelnej, który zresztą byłby bezskuteczny. Śmieszne jest jednak, że prasa liberalna radzi rządowi, aby przeciw przeprowadzeniu dekretu rzymskiego użył *jus placeti* monarszy, bez którego nic

w Węgrzech nie wolno ogłaszać. Skoro rząd tak usilnie pragnie Kościół trzymać zdala od polityki, winien przedewszystkiem w sprawie liturgii zasadzie tej być wiernym.

Morawia. Pięć lat minęło, odkąd na stolicę arcybiskupią w Ołomuńcu przeciwko wszelkiemu spodziewaniu i to z wolnego wyboru kapituły wstąpił ks. Teodor Kohn. Przez ten czas rozdał on na dobroczynne cele nie mniej jak 529.690 złr.

Ziemie polskie. Biskup żmujdzki, ks. Pallulon, wyświęcił w Kownie na kapłanów ośmiu alumnów ze seminaryum wileńskiego. Mało to na tak wielką dyecezyę: *messis, multa, operarii pauci.*

Korzystając z chwilowego złagodzenia (?) stosunków, biorą się katolicy w Krajach Zabranych do odnawiania dawnych i stawiania nowych kościołów, na co dawniej z niezmierną trudnością aż w ministeryum w Petersburgu trzeba było wyjednywać pozwolenie, teraz zaś Konsystorze udzielać go mogą. Tak położono kamień węgielny pod nowy dom Boży w Pustyni, na Białej Rusi, w archidyec mohylewskiej, gdzie dotąd na 4000 dusz był tylko lichy i szczupły drewniany kościółek. Tak samo na Żmujdzi, w Kulach, w dobrach księcia Michała Ogińskiego, położono przy sposobności obchodu sekundycyi miejscowego plebana, ks. Tawroszewicza, kamień węgielny pod nową świątynię, na którą książę cały materyał ofiarował a parafianie pracę. Również w Kobylniku, pod Swirem na Litwie, nowy dom Boży katolicy dźwigają. U nas to są zdarzenia pospolite, ale tam w ziemi ucisku wypadki nadzwyczajne. Stanęło na tem, aby modlitwy w gimnazyach katecheci odmawiali z młodzieżą w języku łacińskim, nie polskim. Lepsze to niezawodnie niż przymus modlenia się spolnie z prawosławnymi uczniami po moskiewsku, chociaż jeszcze nie całkiem wystarczające, bo język łaciński, lubo kościelny, nie przemówi tak do serca najmłodszej zwłaszcza dziatwy jak ojczysty. Ale bał się pewnie rząd rosyjski przez modlitwę polską polonizowania Litwinów i Białorusinów, więc wybrano język neutralny. Przytem we wszystkich zakładach w Krajach Zabranych oraz w trzech gimnazyach w Królestwie (w Lublinie, Suwałkach i Mariampolu) uczy się młodzież nauki religii po moskiewsku, byłaby więc sprzeczność między tym językiem wykładowym a modlitwą. Stąd łacina, która szczęśliwie ocaliła sytuacyą.

Wielkopolska. Umarł w Poznaniu w listopadzie ks. Felicyan Michalski, który w życiu swem dziwną przeszedł zmianę losu. Ziomkiem był ks. Wujka i spółczesnego jemu ks. Wojciecha Emporyna, bo w Wągrowcu urodzony, z ojca lekarza i fizyka powiatowego. Szkoły ukończył w Trzemesznie, skąd tyle zasłużonych ludzi, duchownego zwłaszcza wyszło stanu. Teologii uczył się w seminaryum poznańskiem a później w westfalskim Monasterze, gdzie stopień licencyata św. teologii uzyskał. (Wydział teologiczny w Monastyrze nie nadaje od razu tytułu doktora św. teologii, tylko licencyatom później niekiedy w nagrodę ich zasług lub dzieł ogłoszonych przyznaje z własnej chęci stopień doktora). Powołany na katechetę do gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, doczekał się ks. Michalski kulturkampfu. Kiedy rząd nakazał wykład religii w języku niemieckim, ks. arcybiskup Ledochowski rozporządził, aby z wyjątkiem dwóch klas najwyższych uczono jej w języku ojczystym. Posłuszny rozkazowi swej władzy, ks Michalski stracił posadę. Jął tedy uczniów prywatnie zgromadzać na sali pałacu Działyńskich i uczył ich religii po polsku, ale wnet rząd tych lekcyj zabronił. Pozostał więc bez zajęcia i bez obowiązku, bo przez czas trwania walki z Kościołem nikt legalnie żadnego beneficyum objąć nie mógł a na misyonarstwo potajemne trzeba było młodości i sił. Objął tedy ks. Michalski skromną posadę regensa w konwikcie Szołdrskich, a u siebie dawał lekcye religii Okazałej postawy i mocnego długo zdrowia, taką miał siłę, że giął sztaby żelazne, talary łamał a dorosłego człowieka zdolen był podnieść jedną ręką i trzymać w powietrzu jak ptaka. Tymczasem pojawiła się niemoc kości pacierzowej, która mu odjęła zupełnie władzę w nogach, zostawiając siły umysłowe nietknięte. Dopóki mieszkał w konwikcie, umieszczonym w dawnym pojezuickim gmachu obok teraźniejszej fary, miał tę pociechę, że słyszał głos organu i dzwonka przy mszy św., z którą mógł się jednoczyć. Później, gdy mu przyszło wynieść się do prywatnego mieszkania w mieście, na Wielkich Garbarach, i tej radości był pozbawiony. Na szczęście mógł pracować w domu, i to bez wytchnienia. Władza duchowna, znając jego zdolności, zamianowała go rzeczywistym radzcą konsystorskim i oddała mu jeden z najtrudniejszych referatów, bo sprawy budowlane całej dyecezyi. Otoczony stosami aktów, pracował ten łazarz od rana do nocy i takiej nabrał wprawy i znajomości rzeczy, że najzawilsze sprawy z władzami cywilnemi, kollatorami i dozorami kościelnymi załatwiał pomyślnie. Paragrafy prawa krajowego i wyroki najwyższego trybunału, szczególnie dotyczące *oneris fabricae*, znał na palcach. Stał się wyrocznią w tym zakresie, do której nie tylko *confratres*, ale nawet adwokaci i urzędnicy po objaśnienie się udawali, a że był uczynnym nadzwyczaj, drzwi jego dla szukających rady stały przez cały dzień otworem Tak ten nieszczęśliwy, z miejsca o swej mocy ruszyć się nie mogący, przeżył lat kilkanaście, mimo bezwładności zupełnej usługi ważne swej dyecezyi oddając. Praca była dlań jedyną osłodą i rozrywką a zarazem i obroną od rozpaczy, w którą łatwo mógł popaść człowiek w sile wieku a fizycznie nieruchomy. Przed ośmiu laty, gdy obchodził 25-letnią rocznicę kapłaństwa, ofiarowali mu kondekanalni spółbracia z miasta krzyż srebrny w darze. aby, patrząc na rozpiętego Zbawiciela, umiał nosić ten ciężki krzyż, jakim podobało się Panu Bogu go nawiedzić. Przebywszy czyściec prawdziwy na ziemi, zasnął po przyjęciu Sakramentów św. na wieki, licząc lat 60. Ks. biskup Likowski, jeneralny wikaryusz dyecezyi, towarzyszył zwłokom jego do grobu.

Przykładów niedoli ludzkiej na ziemskim padole bez miary. Rzadsze wypadki wyzwolenia od niej, ale i te się zdarzają, aby nieszczęśliwi nie tracili nadziei. W tem samem mieście, co śp. ks. Michalski, mieszka inny ksiądz, kilka lat od niego młodszy, rzymski dr. św. teologii, niegdyś profesor seminaryum, kapłan wielkiej zacności. Dopuścił Pan Bóg na niego krzyż straszny, bo napady epilepsyi. W skutek nieubłaganego prawa kościelnego musiał zupełnie zaprzestać odprawiania mszy św. Otrzymał emeryturę a po nastaniu normalnych stosunków kościelnych zaszczytne stanowisko w konsystorzu poznańskim, które mu nastręczało zajęcie i pracę. Epilepsya, w obec której bezsilne są wszelkie środki lekarskie, ustaje czasem sama ze siebie. Tak było z owym szanownym kapłanem. Napady ustały, więc na wiosnę r. b. uzyskawszy pozwolenie władzy duchownej, przystąpił znów po 20 może latach do ołtarza, w towarzystwie drugiego księdza i czuwającego obok lekarza. — Można sobie wystawić łzy radości pobożnego kapłana, gdy po tylu latach niezasłużonego ale rzeczywistego zawieszenia od najistotniejszego kapłańskiego obowiązku na nowo mógł Bogu bezkrwawą zanosić Ofiarę!

Francya. W opactwie św. Maryi Magdaleny w Marsylii umarł w listopadzie w 70. roku życia Dom Teofil Berengier, jeden z najuczeńszych i najznakomitszych członków zakonu św. Benedykta we Francyi. Za młodu skończył kurs prawa w Aix, ale powołanie wyraźne zawiodło go w mury klasztoru. W r. 1854 złożył profesyą w sławnem opactwie Solesmes, związanem z dziejami naszych Zmartwychwstańców. Wielki uczony Dom Pitra, późniejszy kardynał, zawezwał go do Rzymu i używał za sekretarza przy rozgłośnych swoich naukowych pracach. Tam się zaprawiwszy do badania wielkich kwestyi teologicznych, wrócił do Solesmes, gdzie znów pracował przy boku słynnego liturgika, Dom Gueranger'a. Od lat 22 przebywał w opactwie benedyktyńskiem rodzinnego swego miasta Marsylii, gdzie przygotował do druku rozmaite dzieła, między innemi o znanym z poświęcenia podczas dżumy w Marsylii i ufności do N. Serca Jezusowego biskupie Belzunce. Dla nas Polaków pamięć Dom Berengiera dlatego jest szczególnie drogą, że on ze swym bratem współzakonnym, Dom Guepinem, autorem żywota św. Jozafata, z Oratoryaninem czyli Filipinem, ks. Lescoeurem, autorem ważnego dzieła o prześladowaniu Kościoła polskiego pod rządem rosyjskim, i z kardynałem Perraud, biskupem z Autun, także Filipinem, tworzył nieliczne grono kapłanów znakomitych, którzy niedoli naszej pozostali wiernymi, podczas gdy cała Francya, duchowieństwa i biskupów nie wyjmując, w Rosyę tylko wierzy i przed nią się poniża. Dom Berengier wydał w swoim czasie dziełko o prześladowaniu Unitów za wiarę na Podlasiu, w którem przedstawił swoim ziomkom, czem jest uwielbiana przez Francuzów Rosya u siebie.

— Po krótkiej bardzo chorobie zmarł 12. zm. Msgr. Germain, biskup z Coutances i Avranches. Śmierć jego znaczy wielką stratę Kościoła we Francyi. Urodził się w r. 1833 z ojca, pospolitego szewca wiejskiego. Inteligencyą swoją zwrócił na się uwagę rady miejskiej, która wysłała go do liceum w Caen. Jako biskup był obrońcą praw i swobód Kościoła. Posiadał wielką znajomość Pisma św. i Ojców i pozostawił zbiór rozporządzeń, które wielkiej uczoności dowodzą. Był także znamienitym mowcą. Zmarł wskutek swej gorliwości, gdy mimo zmęczenia w jednym dniu wypowiedział trzy kazania. Dyecezya opłakuje zarówno cnoty i miłość ojcowską biskupa, jak jego mądrość i wymowę. We Francyi są obecnie opróżnione 4 stolice biskupie: w Soissons, Le Mans, Vannes i Coutances.

Bawarya. W dniu 24. listop. umarł nagle ks. Arcybiskup Antoni Thoma z Monachium. Urodził się w 1829 r. Po ukończeniu studyów teologicznych na uniwersytecie monachijskim otrzymał w 1859 r. święcenia kapłańskie, a w 1889 r. objął stolicę biskupią Pasawie, lecz nie długo cieszyli się dyecezyanie działaniem swego pasterza, gdyż już następnego roku został powołany na stolicę arcybiskupią w Monachium, osieroconą przez śmierć Arcybiskupa Steichele. Od Ojca świętego zmarły odbierał wielokrotnie dowody wielkiej łaskawości, a i korona bawarska umiała uczcić jego zasługi, obdarzając go krzyżem rycerzy orderu zasługi cywilnej, z którym łączy się nadanie osobistego szlachectwa. Bawarya opłakuje zgon swego czcigodnego pasterza.

Bruxela. Biskup Grimes z Christ-church w Nowej Zelandyi tak wyraził się niedawno na kazaniu: Przed laty 60 na całej Nowej Zelandyi nie było ani jednej kaplicy katolickiej i ani jednego stale osiadłego kapłana. Dziś na wyspie tej pracuje arcybiskup, trzech biskupów, 100 kapłanów, około 500 pełnych poświęcenia zakonnic, a ilość katolików wynosi przeszło 100.000. Największą trudność stanowi budowa szkół ponieważ katolicy urządzać je muszą i utrzymywać sami, bez pomocy państwa, równocześnie zaś opłacać cały podatek na utrzymanie szkół państwowych.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska ob. ł.

Dziekanem grodeckim mianowany ks. Jan Stopczyński, prob. kościoła św. M. Magdaleny we Lwowie.

Prezentę na probostwo w Kaczanówce otrzymał ks. Stanisław Juszczak.

Dyecezya tarnowska.

Prezentę na probostwo w Brzezinach otrzymał ks. Stanisław Golonka, dotychczasowy wikary w Dębicy.

Administratorem w Lipnicy-murowanej ustanowiony ks. Władysław Szymanek, wikaryusz z Grzybowa.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **ks. Z. Lenkiewicz.** Z I. Związkowej Drukarni we Lwowie, ul. Lindego l. 4.